

Lester del Rey

Cienie imperium

(Shadows of Empire)

Future Combined with Science Fiction Stories, July-August 1950
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

© Public Domain

This text is translation of the short story "Shadows of Empire" by Lester del Rey, first publication in Future Combined with Science Fiction Stories, July-August 1950. Extensive research did not uncover any evidence that the U.S. copyright on this publication was renewed.

It is assumed that this copyright notice explains the legal situation in the United States. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of the appropriate country.

Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

Wyślizgnęliśmy się z placówki, gdy marsjańskie niebo ciągle jeszcze było ostre i czarne, a poranek lodowato zimny. Słyszeć było tylko chrzęst starych zniszczonych piasków pod nogami, udeptywanych twardymi butami, oraz przyciszone pomruki ładujących się na ciężarówki ludzi, nadal leczących potężnego kaca. Placówka zagubiła się w szarościach gdzieś za nami, a miasto kiedy je opuszczaliśmy dopiero zaczynało budzić się do życia. Ale tak było lepiej; Piąty miał rozkazy powrotu na Ziemię, po dziesięciu pokoleniach w kosmosie, a generał nie chciał cywilnego zamieszania w związku z naszym wymarszem.

Wystarczyło, że usłyszeliśmy szcęk bramy i zobaczyliśmy kilku ludzi ze ściągniętymi twarzami, wystraszonych, kiedy mijaliśmy ich na ulicach. Większość z nas stacjonowała tutaj znacznie dłużej niż dziesięć lat, a w placówkach nie można przecież zupełnie odseparować żołnierzy od cywilnych mieszkańców miasta. No cóż, wszyscy dostali przepustki poprzedniego wieczora, a teraz byliśmy w drodze; im mniej czasu będzie na myślenie, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że dojdzie do dezercji.

I tak dwóch ludzi zbiegło na pustkowia z piaskowym ciągnikiem i ciężarówką. Chętnie bym ich poszukał; po dwudziestu latach w służbie, takie rzeczy zachodzą człowiekowi za skórę. Ale nie mogliśmy czekać przez tydzień polując na nich, kiedy cesarz przyłożył pieczęć na naszych rozkazach.

Teraz zakręt drogi pokazał nam miasto w słabym świetle świtu, z biegnącym z uporem za nami burmistrzem, trzymającym w ręku strzępek flagi. Zaś stary Jake, właściciel tawerny, wciąż stał wśród pustych skrzynek, z których rzucał nam kartony papierosów, gdy koło niego przejeżdżaliśmy. Bóg wie, ile mu byliśmy jeszcze winni, ale sam był kiedyś w Służbie i nie sędzę, żeby miał to teraz w głowie. Tak, to było dobre miasto i nigdy go nie zapomnimy; ale cieszyłem się, gdy droga skręciła ponownie, a wydmy przesłoniły je przed naszym wzrokiem. Ja osobiście, pochodzę tylko ze zwykłego ludu, a nie z tej waszej stalowo-lodowej szlachty, tak jak generał.

I dlatego ciągle byłem tylko sierżantem majorem, nawet mimo tego że ostatnimi czasy musiałem pełnić funkcję zastępcy dowódcy. W dawnych latach, oczywiście, przysłaliby nam młodych szlachciców z odpowiednimi tytułami, aby ją przejęli, ale myślę, że teraz wszyscy woleli zostawać na Ziemi. Jeśli już o tym mówimy, to za mojej służby w ogóle mieliśmy zbyt małe uzupełnienia, poza tymi, które zrekrutowaliśmy sami z miasta i otaczających je wiosek. Ale do diabła – daliśmy radę. Piątemu brakowało może paru ludzi i jakiegoś fantazyjnego blichtru, ale nigdy nie słyszałem, aby grasujący Torrakhi śmiali się z tego, nawet po tym, jak kiepskie paliwo uziemiło nasz ostatni helikopter.

Do tej pory małe czerwone słońce dotarło do miejsca na niebie, w którym mogliśmy wyłączyć grzejniki naszych aspiratorów. Poruszaliśmy się przez dosyć przyjemny kraj, małe farmy i sady jagód kanałowych. Mieszkańcy farm musieli pomyśleć, że znowu ruszamy na rajd, ponieważ tylko machali do nas i kontynuowali swoją pracę; owce o grubej wełnie przez cały czas beczwały na siebie, nie zwracając na nas najmniejszej uwagi. Za mną ktoś niezdecydowanie zaczął grać pieśń marszową na starym lectrozycie, a ludzie podjęli ją dalej.

Tak było lepiej. Westchnęłam w duchu, stwierdziłem że jedna z nóg zupełnie mi zdrętwiała, i rozmasowałem w niej ciarki, podczas gdy kolejne mile pozostawały za nami, zaś wioski i farmy zaczęły się przeredzać. Wkrótce dotarliśmy do obrzeży północnej pustyni, a gąsienice pojazdów przeszły w rytm stałego, szurającego mielenia, które jest prawdziwą muzyką dla uszu mężczyzny. Zjedliśmy obiad z naszych racji, zaś przed nami w nieskończoność ciągnęły się czerwone wydmy.

Minęło już kilka godzin, kiedy traktor generała podjechał do mnie i jego tak zwany adiutant przeskoczył na mój fotel; zwykle ponura twarz Stanisłausa ściągnęła się w krzywym uśmiechu. Potem rozległo się brzęczenie radia, a on przystawił mi je do ucha, z palcem na ustach.

Usłyszałem rzeczowy głos generała.

— Zacieśnić szeregi, sierżancie; zauważyliśmy bandę Torrakhi zmierzającą w kierunku miasta. Prawdopodobnie usłyszeli że je opuszczamy i już się ruszyli; ale chętnie zatrzymają się aby zapolować na marudera, a więc trzymajcie się blisko siebie.

— Tak jest, sir — odpowiedziałem z przyzwyczajenia i dodałem jeszcze kilka słów napisanych na kawałku papieru, którym Stanislaus potrząsał mi przed nosem. — Ale czy nie moglibyśmy najpierw trochę ich pogonić?

— Nie ma czasu. Wygląda to na tylną straż, a główne siły prawdopodobnie już przekradły się przez pustkowia. Miasto będzie musiało samo sobie poradzić.

— Tak jest, sir — powtórzyłem, radio wyłączyło się z kliknięciem, a Słowianin jechał dalej koło mnie, uśmiechając się do siebie. W promieniu kilku mil nie było żadnego Torrakha i dobrze o tym wiedziałem, ale generał zwykle wiedział co robi; nie byłem taki głupi, żebym się tego nie domyślił.

Stanislaus rozciągnął swoje chude ciało na siedzeniu i powoli pokiwał głową.

— Tak, on też jest trochę szalony – dlatego jest dobrym generałem – sierżancie. Niewielu na wyższych stanowiskach go lubi, i siedzielibyśmy na Marsie jeszcze przez następne pokolenie lub coś koło tego. Choć na dłuższą metę, nie ma to większego znaczenia... „Vanitas, vanitatum!... Nie ma pamięci o tych, co dawniej żyli, ani też o tych, co będą kiedyś żyli, nie

będzie wspomnienia u tych, co będą potem.”¹ To słowa Koheleta i są one więcej warte niż cała Apokalipsa św. Jana.

— Albo dziesięciu ponurych Słowian! O odwołaniu Piątego na Ziemię, mówiło się jeszcze kiedy byłem jeszcze szeregowcem. Powinieneś być kaznodzieją!

— I w pewnym sensie byłem, sierżancie, „zanim jeszcze nadejdą dni niedoli i przyjdą lata, o których powiesz: «Nie mam w nich upodobania»”². Ale proroków nikt nie lubi, a tak jak powiedziałeś, ja jestem tylko ponurym Słowianinem, nawet jeśli zwykle przysyła się zastępstwo przed wycofaniem starych oddziałów. No cóż, „uderz Macduffie”, dla większej chwały Imperium.

Nie chciałem przyznać, że tu mnie ma, ale nie potrafiłem wymyślić nic co mógłbym powiedzieć, więc się zamknąłem. Złowróżbne kruki pewnie kręciły się po świecie jeszcze zanim napisano te słowa, ale cywilizacja jakoś się rozwijała. Chociaż ostatnio rzeczywiście pojawiły się dziwne pogłoski o stanie rzeczy na Ziemi. Stanislausowi jednak zawsze jakoś udawało się wywołać u mnie myśli o zapachu starych strychów, pełnych śmieci i zaczynających porastać pleśnią. Odwróciłem się i popatrzyłem na boki, dokładnie w chwili gdy na widoku pojawiły się pierwsze obrzeża starego kanału.

Nadal nazywa się je kanałami, chociaż nawet dawni astronomowie wiedzieli już że nimi nie są, zanim jeszcze ktokolwiek dotarł na Marsa. Ale musiały być czymś ważnym, dziesięć czy piętnaście tysięcy lat temu, kiedy V'nothi zbudowali te wielkie ziemne linie wodne, ciągnące się przez tysiące kilometrów na całej planecie, aby podzielić ją na sektory i odseparować rujnujące ją zasy pyłkowe. Wielkie pompy osmotyczne nadal działały zgodnie z przeznaczeniem, i nawet dziś kanałami przepływała odrobina wilgoci, docierająca do linii upustowych i utrzymująca na pięćdziesiąt mil wokół nich zarośla zdegenerowanych, karłowatych drzew.

V'nothi zniknęli, zanim jeszcze zbudowano Piramidy, pozostawiając tylko swoje obrazy na ścianach ruin; wyglądali jak wielcy, dobroduszni Wikingowie, w komplecie z mocnymi, skrzydlatymi hełmami. Ich kobiety musiały być naprawdę wspaniałe, nawet pomimo porastającego całe ciało futra. Archeolodzy, za każdym razem gdy patrzyli na te obrazy, klęli pod nosem i zastanawiali się co na Marsie robili ludzie na koniach, i dlaczego nigdy nie znaleziono ich kości! Niektórzy nawet przypuszczali, że V'nothi przybyli z Ziemi, pochodząc może z wczesnego szczytu cywilizacyjnego, który zapamiętany został w mitach o Atlantydzie. Ale nawet gdyby tak było, wiele rzeczy z nimi związanych doprowadzało człowieka do szału, zostawiając już na boku ich pochodzenie. Gdyby ktoś chciał mnie spytać, były to tylko domowe pieszczochy jakiejś innej rasy. Mimo to, kimkolwiek

¹ Księga Koheleta, za Biblią Tysiąclecia (przyp. tłum.)

² Ibidem.

był ich prawdziwy szef, to w ich czasach musiała to być całkiem niezła planeta.

Nawet drzewa kanałowe nie były naturalne; żadne inne rośliny na Marsie nie posiadały rosnących na nich miechów, które napełniały się powietrzem, ozonem i śladowymi ilościami pary wodnej. Nawet przez warkot silników ciągnika, przebijał się monotonny pomruk ich oddechów. Zaś o zachodzie słońca, kiedy wszystkie razem podnosiły jeden wielki jęk... no cóż, kiedy po raz pierwszy go usłyszałem, zaczęły mnie prześladować myśli o tym, jaka była ta rasa panów, chociaż nie należę do ludzi o zbyt bujnej wyobraźni. Teraz, jestem już starszy i po prostu ani tego nie wiem, ani też specjalnie mnie to nie obchodzi.

Powietrze było jednak bardziej suche i rzadkie, w miejscach gdzie pochłaniały z niego wilgoć, i Stanislaus odetchnął nim z pewnym przekonaniem a potem kiwnął głową, jakby mu się spodobało.

— Kurz Babilonu, co, sierżancie? Przeszli kiedyś długą drogę, pod pewnymi względami zaszli dalej, niż my wspięliśmy się do tej pory. W ciągu tysiąca lat lub mniej, osiągnęli szczyty w naszych naukach, porzucili je i zaczęli pracować nad czymś, co my nazwalibyśmy czystą magią. Czasami przeraża mnie już samo myślenie o tym co sugerują zapisy historyczne. Wybili się do poziomu bogów, zanim uderzyło ich i ściągnęło w dół przekleństwo wielkości; a ponieważ byli ekstremistami, nie było to tylko wycofanie się, lecz droga donikąd.

— Chcesz powiedzieć, że my stoimy przed tym samym, 'laus? — zawsze lubiłem sposób w jaki wypowiadał swoje imię, tak by rymowało się z Klaus.

— Nie, sierżancie, my nie jesteśmy tacy jak oni – my potrafimy się wycofać. Niniwa, Troja, Rzym – przeminęły, ale peryferia zawsze pozostawały w stanie hibernacji i wschodziły w czasie kolejnej wiosny. Imperia rozpadają się, ale umieranie trwa długo, i jak dotąd zawsze istniał pewien zapas witalności, który przenosił się na kolejny napływ młodości. Wytworzyliśmy u siebie rasowy kompleks feniksa. Ale oczywiście ty nie wierzysz w narzekania ponurego Słowianina, po prostu przepełnionego goryczą, że jego dawne imperium pogrzebane jest pod jedną z ostatnich hałd pyłu?

— Nie — odparłem mu. — Nie wierzę.

Wstał, strzepując popiół ze swej parki, długimi, drżącymi palcami, a w jego głosie dawało się wyczuć irytujący chichot.

— Potężny z ciebie facet, duma Imperium i to wszystko! Gratuluję, sierżancie i, do cholery, zazdroszczę ci!

I już przeskakiwał nad gąsienicą, a po chwili jak długi wychudzony kot biegł do miejsca, gdzie zatrzymał się ciągnik generała,. Gdyby nie to, że diabli mieli go w opiece, już dawno temu jego język załatwiłby mu pchnięcie rapierem.

Nie miałem czasu na rozmyślanie, nawet o tak przyjemnych rzeczach. Ludzie przestali śpiewać, a pierwsza reakcja wymuszonej radości, dobiegła końca. Byli w sumie dobrymi żołnierzami, ale po wielu latach na posterunku wśród mieszczuchów, nie mogli powstrzymać się od ludzkich odczuć. Wróciłem więc na koniec kolumny i nie spuszczałem oczu z tych,

którzy mogliby nagle zdecydować się na problemy z silnikiem i pozostać w tyle. Zawsze pierwszy dzień i noc, są najtrudniejsze.

Ich narzekania brzmiały dosyć normalnie kiedy dobrze po zachodzie słońca zjechaliśmy ze szlaku i oddaliliśmy się od szemrania drzew. Poczułem się lepiej; to wtedy, gdy przestają marudzić, trzeba ich pilnować. Jak zwykle, kazałem im kopać znacznie głębiej niż potrzebowaliśmy, chociaż robi się tu dostatecznie zimno, by zamrozić w nocy ciało człowieka na kamień. Zanim zostałem usatysfakcjonowany, mocno się napocili i musieli zwiększyć moc swoich aspiratorów, a berylowy wierzch namiotu ledwie wystawał ponad piasek.

To dało im coś trywialnego czym mogli się zająć, a zmęczone mięśnie stwarzały lepsze warunki do snu. Dobre jedzenie i podwójna porcja grogu powinny zgrabnie dopełnić tę sztuczkę, a ja już wydałem rozkazy aby to zapewnić – co nie pozostawiało mi nic innego do roboty, jak tylko wejść do środka, gdzie Stanislaus leżał rozciągnięty na pryczy, bawiąc się jedzeniem i kiwając głową w stronę pojękującego aspiratora namiotu.

— Niezły gadżet – skuteczny – skomentował, a na jego twarzy przez cały czas gościł ściągnięty uśmiech. — Oczywiście powietrze jest dostatecznie gęste aby nim oddychać, kiedy człowiek nie pracuje, ale pomimo wszystko miło jest mieć coś takiego.

Wiedziałem oczywiście, co miał na myśli. Starzy odkrywcy robili wiele głupawych rzeczy, takich jak dostarczanie wystarczającej ilości tlenu, aby utrzymać ciśnienie powietrza prawie na poziomie normalnym dla Ziemi. Ale to nie było ekonomiczne i byliśmy na tyle nowocześni, żeby się obejść bez takich bzdur. Kiedy jadłem, powiedziałem mu to, wraz z kilkoma dobrymi radami, jak żyć w zgodzie z cesarzami. Poza tym był to cholernie lepszy aspirator niż te które mieli pionierskich w czasach.

Równie dobrze mogłem sobie oszczędzić powietrza w płucach. Począł, aż dojdę do końca, i przyjaźnie pokiwał głową.

— Absolutnie, absolutnie. I bardzo dobrze powiedziane sierżancie. Jak mawiali Rzymianie, kiedy Germanie Teodoryka wydali im rozkazy, jesteście nowocześni i dokładnie na czasie. Żyjąc w obecnych czasach, automatycznie jesteście nowocześni. Co do cesarza, to nigdy bym nawet nie pomyślał o obwinianiu go za to co jest nieuniknione, chociaż chętnie bym z nim podyskutował na ten temat, gdyby nie to że czuję pewną sympatię do swojej głowy. A tymczasem Mars odbudowuje uszczelki w domach i stawia na małe maszyny wiatrowe. „A oto: wszystko to marność i pogoń za wiatrem!”¹ Naprawdę powinienes, poczytać Koheleta. No cóż, spokojnego snu, sierżancie!

Schował się pod kocem i po mniej niż pięciu minutach, chrapał jak niedźwiedź. Nigdy nie potrafiłem dobrze spać pod blaszanym namiotem, z człowiekiem, który chrapie; a tym razem było gorzej niż zwykle. Jednak jakoś w końcu udało mi się zasnąć.

¹ Ibidem.

Rano, byliśmy już odkopani i gotowi do wymarszu, gdy plan generała zaczął przynosić owoce; na wydmach pojawili się nasi dezenterzy, pędząc do nas ze wszystkich sił. Musieli dostrzec mój ciągnik, ponieważ nie zmarnowali ani chwili i udali się prosto do mnie. Cholerni głupcy! Oczywiście musieli zabrać ze sobą dwie kobiety, zamiast zostawić je w pobliżu miasta. Musieli być kompletnie pijani, kiedy zaczęli całą akcję, choć całonocna jazda trochę ich otrzeźwiła – jazda plus zamrażanie prawie na śmierć i wyobrażanie sobie Torrakhi za każdym krzakiem.

Nigdy jednak nie widziałem tych dwóch obwiesiów, salutujących z tak wielkim entuzjazmem, natychmiast kiedy tylko zeskoczyli na ziemię, a rozbawione prychnięcie Stanisłausa dokładnie powieliło moje uczucia. Piłeczkę przejął większy z nich, obrzucając Słowianina tylko przelotnym spojrzeniem.

— Sir! Nic nie mogliśmy poradzić na naszą nieusprawiedliwioną nieobecność, my...

— Zostaliście złapani przez Torrakhi, oczywiście — za moimi plecami w powietrzu zawisł gładki głos generała i w podskokach zniknąłem mu z widoku. — Byliście na tyle sprytni, że udało się wam uciec, zdobyć ciągnik i wszystko inne. Niestety, nie było żadnych Torrakhi; wiadomość którą wasz zestaw zdołał rozszyfrować, była pułapką, opartą na założeniu, że będziecie woleli zaryzykować powrót do nas, niż gonitwę z bandą koczowników siedzących wam na karku. Zdaje się, że mógłbym kazać was zastrzelić, a jeśli usłyszę od was choćby jedno płaczliwe słowo, zrobię to natychmiast! Albo może powinienem zabrać was z powrotem na Ziemię w łańcuchach.

Jego usta zacisnęły się w cienką, białą linię, a oczy przesunęły się na krótką sekundę na Stanisłausa.

— Nie spodobałoby się to wam. Mamy nowego cesarza, nie tak miękkiego jak ten, którego mieliśmy wcześniej. Służyłem pod nim kiedyś... i myślę, że chętnie by mnie nagrodził za sprowadzenie was na Ziemię, oczywiście po wcześniejszym wyrażeniu wam wdzięczności w sposób właściwy obecnej imperialnej modzie. Jednak dla dobra Piątego zostaliście już wpisani jako ofiary śmiertelne. Sierżancie, czy zna pan te kobiety?

— Ich nazwiska są w naszych rejestrach, sir!

— Doskonale. A one wiedziały, w co się mieszają. Bardzo dobrze, zostawcie tym ludziom ich broń boczną, ale ciągnik i ciężarówkę które nam tak uprzejmie oddali, proszę wykorzystać dla swoich ludzi, a potem przygotować się do opuszczenia obozu. Zapomnieliście już o całej tej sprawie, i dotyczy to również tych ludzi!

Obrócił się na pięcie i wsiadł na swój traktor nawet nie spoglądając kolejny raz na dezenterów, którzy dopiero teraz zaczęli zdawać sobie sprawę z tego, co powiedział.

Zawróciliśmy w stronę wiodącej kanałem drogi, oglądając się na czwórkę ludzi, dopóki nie zasłoniły ich wydmy. Stanislaus, który

zdecydował się jechać ze mną, wzruszył po chwili ramionami i zapalił papierosa.

— Nieortodoksyjne rozwiązanie, sierżancie, ale skuteczne; możesz przestać się martwić o dezercje. I pozwól, że ci powiem, to była najwłaściwsza rzecz jaką można było zrobić; akurat przypadkiem wiem – i to raczej dobrze, prawdę mówiąc – dlaczego nasz tak precyzyjny i sumienny dowódca pomyślał, że rozsądnie będzie podretuszować rejestry. Ale nie będę cię tym zanudzał. A co do naszej czwórki – no cóż, niektórzy z pionierów byli wysyłani przy gorszych szansach, ale de mortuis nil, nisi bonum. Miły poranek, nie wydaje ci się?

Właściwie to tak było i czas mijał przyjemnie. Szlak odbił w bok, kierując się teraz na południe i oddalając się od kanału, a piasek nie był już podziurawiony dziwaczными dołami, których zawsze było pełno wokół drzew kanałowych. Do południa pozostawiliśmy za sobą ponad sto mil drogi, a ludzie zobojętnieli już na zmianę stanu rzeczy, chociaż nadal nie śpiewali tego, co lubię słyszeć w trakcie marszu – dobrych, starych sprośnych piosenek, które jakimś sposobem stanowiły podporę morale Armii.

Wysłałem kilka traktorów na zwiad, żeby przerwać monotonię marszu, choć tak blisko końca pustyni nie powinno być nic specjalnego do wykrycia.

Niespodziewanie jednak, nie minęło nawet dziesięć minut, kiedy nadszedł od nich meldunek: Torrakhi z lewej flanki! W parę chwil uformowaliśmy się w wąską falangę i popędziliśmy na wzniesienie, z którego mieliśmy lepszy widok; ale po dotarciu na górę już na pierwszy rzut oka wiedzieliśmy, że nie ma żadnego zagrożenia. To była tylko niewielka banda, oddalona o pół mili, wytrząsająca grzbiety na swoich wierzchowych lamach, w spokojnym tempie. Po chwili zauważyli nas, wycofali się za wydmy i zniknęli z pola widzenia. Mała banda rabusiów, kierująca się z powrotem na północ, pewnie po złupieniu jakiejś głupiej samotnej farmy.

Ale niezwykle było, widzieć ich tak daleko na południu. Nigdy nie byliśmy w stanie wyeliminować ich całkowicie, nie bardziej niż V'nothi przed nami, ale całkiem mocno utrzymywaliśmy dzikich quasi-ludzkich barbarzyńców w ryzach. A teraz tylko wróciliśmy na szlak, nie niepokojąc ich, co ośmieli ich z pewnością do kolejnych napadów; nic innego nie mogliśmy zrobić, ponieważ nie zaatakowali nas, a my mieliśmy cesarskie rozkazy. No cóż, może oddział Drugi zatrzyma ich za nas przez jakiś czas. Miałem taką nadzieję.

Stanislaus mógł sobie mówić, co chciał, ale nadal był żołnierzem i też go to uderzyło.

— Widziałeś ten długi karabin, który wyciągnęli? Co na to powiesz?

— Tak na pierwszy rzut oka, wyglądał jakby był od renegackich piratów z Kallisto. Ale żeby handlować z Torrakhi, wygnańcy musieliby przedostać się przez Flotę Zewnętrzną!

Odrzucił papierosa i odwrócił się do mnie, śmiertelnie poważny i spokojny.

— Flota Zewnętrzna, to tylko propagandowy mit, sierżancie! Wycofali ich zanim jeszcze... hmm... opuściłem Ziemię!

Nie mógł wiedzieć takich rzeczy, a ja nie chciałem mu wierzyć; ale jakoś byłem pewny, że wiedział i można było wiele rzeczy o nim powiedzieć, ale nie był kłamcą. Ale to by znaczyło, że handel Ziemia-Mars...

— Dokładnie — powiedział, jakby czytał moje myśli. — A teraz wracamy my, aby pomóc w stłumieniu niewielkiego małego powstania w Imperium, jak słyszę. Sam o tym pomyśl.

Jednak nawet jeśli była to prawda, niczego to nie dowodziło. Jasne, źle to wyglądało, ale nauczyłem się w życiu, że nie można oceniać spraw na podstawie pół-wiedzy. Wiele razy, od czasu gdy wyruszyłem w kosmos, przeklinałem otrzymane rozkazy, ale wróciłem żywy z akcji, tylko dlatego że nie były one takie, jakie ja bym wydał. Do cholery, nawet jeśli karabin mezotronowy był od Kallistian, nie wiadomo było, ile miał lat; a Flotę Zewnętrzną może odwołali z innego powodu, dlatego że nie była potrzebna. Ale to utrzymywanie pozorów wyglądało dziwnie.

Tej nocy obozowaliśmy w starym, opuszczonym forcie, którego początki sięgały pionierskich czasów, a następnie przemknęliśmy rankiem przez małe wioski i pogranicze bardziej osiadłych terytoriów. Tutejsi ludzie wyglądali na całkiem twardych i sprawnych, ale po czasie spędzonym na pustyni zrobiło się trochę przyjemniej, a i żołnierze wydawali się być w lepszym nastroju. Tutaj droga była utwardzona, i silniki ruszyły pełną mocą. Nieco później minęliśmy linie strażnicze i zanim minęła kolejna noc, byliśmy już w dobrze zasiedlonym kraju. Odtąd wszystko szło łatwo, a kolejne mile pozostawały w tyle regularnie jak w zegarku, chociaż brakowało mi szelestu piasku pod gąsienicami.

W miarę upływu czasu ziemia i ludzie robili się coraz bardziej miękcy, nabierając tego wygodnego wyglądu, którego brakowało mi tam, gdzie Torrakhi byli czymś więcej niż tylko straszakami dla dzieci. A farmy były większe i lepiej utrzymane. I jeśli już o tym mówimy, nie widziałem by pracujący koło nich ludzie, mieli karabiny pod ręką. To była zasługa wojska. Kiedy po raz pierwszy wylądowaliśmy na Marsie, w pionierskich czasach, na jego powierzchni nie było miejsca, gdzie człowiek mógłby spać spokojnie, zamykając oboje oczy. Teraz nawet dzieci biegały wzdłuż drogi bez żadnej opieki. Och, pewnie, zdarzały się tu od czasu do czasu opuszczone wille, ale nie sądzę, aby bardzo tęskniono za szlachtą.

A to oznaczało cywilizację i postęp, cokolwiek myślał o tym Stanislaus. Nich tam sobie wycofują Flotę Zewnętrzną i odwołują Piąty. Dopóki Mars miał takie miejsca jak to, nie wyglądało to źle dla Imperium. Chciałem rzucić to w twarz Słowianinowi, ale wiedziałem, że to nic nie da. Zawsze znalazłby jakąś odpowiedź. Lepiej nie budzić licha.

Poza tym znowu jechał z generałem, a nawet w nocy zajęty był pisanie jakiejś wielkiej książki i nie zwracał uwagi na nic innego. W pewnym sensie wszystko było w porządku. Mimo to, nie wiem.

Przynajmniej, kiedy przelewał na papier swoje dogmaty, miałem okazję poszukać jakichś odpowiedzi dla siebie. Niewiele jednak mogłem wymyślić, aby zmienić mu ten jego wyraz twarzy.

Zauważyłem jednak, że zawsze wydawaliśmy się zakładać obóz w chwili, kiedy byliśmy z dala od miasta. Była to zastanawiająca rzecz, podobnie jak ta nonsensowna radość, która zaczęła panować wśród naszych ludzi. Wyglądało na to, że generał chciał trzymać nas z dala od wszelkich krążących wokół plotek, a to było dziwne; zwyczajnie cywile marudzą – ale przecież to nic nie znaczyło dla wojska.

A teraz, gdy przeminęło wrażenie nowości, zaczęło być widoczne, że coś było nie tak z liczbą porzuconych farm, które minęliśmy po drodze, oraz z faktem, że były one puste już od dłuższego czasu. W niektórych wioskach napotykaliliśmy małe sklepiki z oknami pozabijanymi deskami, a w pewnej chwili minęliśmy ogromną fabrykę atomowych produktów ubocznych, martwą i zapomnianą. A miękkość na twarzach ludzi zaczęła wyglądać mniej przyjemnie; jedna porządnego rozmiarów banda Torrakhi mogłaby obrócić w perzynę cały okręg, nawet bez mezonotronowych karabinów z Kallisto.

Raz tylko rozmawiałem z miejscowym, nie mając do niego jakiejś specjalnej sprawy. Kiedy jechaliśmy, ja wtedy akurat byłem na tyle kolumny, koło drogi pojawił nagle się chłopiec, w wieku około dwunastu lat. Zainterесowała mnie piosenka, którą śpiewał, i sposób, w jaki na mój widok wykonał regularny wojskowy salut. No cóż, generała nigdzie nie było widać, a dzieciak wziął zmniejszenie prędkości jako zachętę do wskoczenia na osłonę gąsienicy.

— Piąty, prawda, sir?

— Zgadza się. Ale gdzie u licha nauczyłeś się tej śpiewki i właściwego sposobu zwracania się do żołnierzy?

Uśmiechnął się tak, jak to potrafią robić zdrowe dzieciaki, zanim urosną na tyle aby o tym zapomnieć.

— Gramps był w Piątym, kiedy przerwał on oblężenie Bharene, sir. Opowiadał mi o tym wszystko, zanim umarł. Jezu, musiało być wspaniale, kiedy był młody.

— A teraz?

— Teraz mówi się, że wracacie na Ziemię, a Grampsowi by się to nie podobało. Był Marsjaninem, tak jak ja... Tam mieszkam, więc muszę już iść. Dzięki za podwózkę, panie sierżancie.

Więc nawet dzieci już wiedziały że wracamy, i teraz staliśmy się tylko kolejnym oddziałem wojska, a nie podporą Marsa. Dziwne, nie pomyślałem o tym, co to oznacza, powrót tam, gdzie ludzie nigdy wcześniej o nas nie słyszeli. Rozumiałem już jednak, dlaczego generał miał rację, nie pozwalając nam mieszać się z tutejszymi ludźmi. Do diabła, wciąż byliśmy Piątym i nic tego nie mogło zmienić, Mars czy Ziemia, Cesarz czy Torrakhi!

Nie mieliśmy zbyt wiele czasu na podziwianie leżącego dalej kraju, choć w miarę pokonywanych mil, robił się coraz ładniejszy. Traktory zaczęły się zawęgląć, na skutek używania paliwa, które musieliśmy rekwirować, i mieliśmy dużo pracy z zajmowaniem się nimi i wyczekiwaniem na kłopoty. Na placówce mieliśmy własną oczyszczalnię, usuwającą osady z paliw roślinnych, ale tutaj musieliśmy zdać się na los szczęścia. A było o wiele gorzej niż się spodziewałem. Ale człowiek ma tendencję do idealizacji czasów swej młodości i wmawiania sobie, że kiedyś było lepiej. Nie wiem. Może zawsze było tak źle.

W każdym razie dokonaliśmy tego, pomimo paru awarii. Był zmierzch, kiedy pojawiły się światła Marsport, i zaczęliśmy powoli przedostawać się przez jego obrzeża. Kiedy dotarliśmy do głównej ulicy, przed nami jechał policyjny motocyklista z uruchomioną syreną, choć nie było takiej potrzeby. Przez cały czas zastanawiałem się, gdzie są samochody i skąd im się udało wykopać tyle rowerów. Musieliśmy okropnie wyglądać, ponieważ maszerowaliśmy zbyt szybko, aby zachować nieskazitelny połysk, ale pomimo wszystko było trochę wiwatów ze strony tłumów zgromadzonych ludzi, i parę kobiecych twarzy, które wyglądały, jakby od lat nie widziały munduru. Ludzie obudzili się na to, wykrzykując zwykłe rzeczy, ale generalnie czułem w mieście ich rozczarowanie.

Potem zatrzymaliśmy się, i Stanislaus wrócił koło mnie, podczas gdy do traktora generała dumnym krokiem podszedł gruby i przysadzisty człowieczek obwieszony szlacheckimi klejnotami, po drodze niemal marszcząc nos na widok brudu na naszym sprzęcie. No cóż, sam mógłby trochę lepiej się ogolić, a odrobina mniej kiepskiej wody znacznie przysłużyłaby się jego godności. Słowianin zachichotał.

— Zdaje się, że to powinno być dobre, chyba że stary stracił swój ząb. Pstryknij przełącznik, sierżancie, zostawiłem włączone radio.

Ale z głośnika nie wydobył się żaden dźwięk, z wyjątkiem zaskoczonych chrząknięcia urzędnika, gdy zobaczył pierścień o dziwnym wzorze na palcu generała. Nigdy nie wiedziałem, co on oznacza, ale na jego widok z wielkiej szychy zeszło całe powietrze i po tym wszystkim nie był w stanie nawet sprawnie i szybko wręczyć oficjalnej wiadomości. Gdy tłum go z powrotem pochłoniął, ocierał pot z twarzy. Widziałem kiedyś, jak w taki sposób zachowywał się pewien zdegradowany sierżant, kiedy nagle przypomniał sobie, że używa rangi, której już nie ma.

— Niech pan jeszcze się nie rozłącza, sierżancie — powiedziało cicho radio i tym razem to ja się uśmiechnąłem. Stanislaus powinien trochę się zastanowić, zanim ponownie zacznie coś kombinować.

— Hmm. Będę mocno zajęty oficjalnymi sprawami u gubernatora, tak więc to pan będzie musiał ciągnąć sprawy dalej. Wie pan, gdzie jest port pomocniczy? Dobrze. Niech pan tam rozbije obozowisko i postawi ludzi na straży siebie oraz hangarów. Żadnych przepustek. To wszystko.

Przesiadł się do czekającego samochodu, zostawiając traktor swojemu kierowcy, i ruszyliśmy dalej, przez przedmieścia a potem koło głównego

portu kosmicznego; ten był ciemny i nie mogę o nim zbyt wiele powiedzieć, ale przypominałem sobie bałagan panujący na starym lądowisku pomocniczym. Zbudowali je trzydzieści mil dalej, na pustych terenach, żeby poradzić sobie z zalewem ludzi podczas pierwszego okresu kolonizacji. Potem przez całe lata było opuszczone i porośnięte zielskiem, a hangary się rozpadały. Było tam nawet gorzej niż pamiętałem, choć paliło się trochę światła i czekała grupa policyjnych strażników, którzy nas wpuścili i skierowali na lewą stronę lądowiska.

Poczyniono pewne porządki, ale zostało jeszcze wystarczająco dużo pracy żebyśmy narobili się jak woły, i starczyłoby jej cztery dni co najmniej, gdybyśmy zostali tutaj tak długo. Przynajmniej dało mi to dobry pretekst dla ogłoszenia zakazu opuszczania terenu, chociaż ludzie przyjęli go lepiej, niż się spodziewałem; wyglądało jakby jakimś sposobem przewidywali go już wcześniej. W końcu zakończyłem wydawanie rozkazów i mogłem wreszcie dołączyć do Słowianina przy oglądaniu statków, które zauważyłem na końcu lądowiska.

Widziałem już wcześniej krążownik z podwójną wieżyczką, ale te dwa wielkie bydlaki były inne, nawet w kiepskim świetle lądowiska. Wyglądały jakby pochodziły z kart książek historycznych, chociaż żadna książka nie mogła dać cienia wyobrażenia o ich wielkości. Załogi rakiet były na pokładach, zajęte własnymi sprawami, wyglądały jak mrówki biegające po drapaczu chmur, dla porównania. Każdy ze statków mógł pomieścić cały oddział, a jeszcze pozostałoby na nim miejsce na ładunek.

— A więc, czekamy na oddział Drugi, 'Laus?

Oderwał się od pełnego szacunku podziwiania wielkich statków i powoli skinął głową.

— Robisz się coraz lepszy, sierżancie, chociaż zapomniałeś skomentować potrzebę ochrony krążowników między Marsem a Ziemią... Dwieście lat! I nadal są solidniejsze niż ten kawał śmiecia wysłany, aby je chronić. Były czasy kiedy ludzie wiedzieli, jak budować statki – i jak z nich korzystać. Teraz pozostały już tylko cztery z wszystkich które zbudowano. Jakiś pomysł, gdzie jest pozostała dwójka?

— Taaa. — Nie rozpoznałem ich ze względu na rozmiary, ale nie było jeszcze wystarczająco ciemna, aby całkowicie je skryć. — Pewnie w innym porcie, zabierają oddziały z południa. Niech to diabli, 'Laus, musiałeś mnie zarazić tym swoim pesymizmem?

— Wracasz na Ziemię, sierżancie — odparł, jakby to było wystarczające wyjaśnienie. — Optymista widzi obwarzanka, pesymista, dziurę. Ale lepiej widać prawdziwy stan rzeczy przez dziurę, niż przez kawałek ciasta. A jak to powiedział Havelock Ellis, miejscem gdzie optymizm rozkwita najbardziej, są szpitale dla obłąkanych¹. Wracajmy, pożyczę ci Kocheleta, a ja skończę swoją książkę.

Byłem na tyle głupi, żeby to przeczytać. Chociaż pewnie i tak prześladowałyby mnie te same koszmary. Dobrze się przypatrzyłem twarzom tej grupy z rakiety.

¹ Havelock Ellis (1859–1939) – brytyjski psycholog i lekarz. Powyższa sentencja stanowi cytata z jego książki „The Dance of Life” (1923) (przyp. tłum.)

Rano byłem za bardzo zajęty szefowaniem załadowkowi naszego wyposażenia, żeby mieć czas na rozmyślanie. Nawet mając mapy korytarzy, zagubiłbym się na statku bez pomocy jednego z pilotów, młodego mężczyzny o zgorzkniałym wyrazie twarzy, który wydawał się zadowolony z tego, że ktoś wypełnia mu czas, ale który nie chciał rozmawiać poza niezbędnymi sytuacjami. Kiedy w południe wrócił generał, wszyscy ludzie byli już zakwaterowani, z wyjątkiem wyznaczonych do pomocy w załadunku kolekcji skrzyń, które zaczęły przychodzić z Marsport.

Skinął krótko głową z aprobatą i poszedł do radia w swojej kabinie. Około godziny później uniosłem głowę i zobaczyłem wkraczający Drugi, zmierzający prosto do drugiego statku, oddalonego o milę od nas. O ile o mnie chodziło, mogli sobie oszczędzić kłopotów; nie miałem potrzeby porównywania notatek z drugą grupą. Ale wydaje mi się, że tak było lepiej dla ludzi i znacznie łatwiej, niż wystawiać na noc strażników, mających pilnować, żeby się nie kontaktowali. Ten cholernie efektywny sposób prowadzenia armii, pomyślałem; ale oczywiście nie była to już armia - tylko Oddziały Drugi i Piąty, które wkrótce zostaną rozproszone po całej Ziemi!

Było już po capstrzyku, kiedy na pokład przyprowadzili cywili, ale ja nadal cieszyłem się swobodą zastępcy dowódcy, i udało mi się podejść wystarczająco blisko, aby dobrze przyjrzeć się im, oraz kolekcji specjalnych narzędzi, które przywieźli ze sobą razem z resztą bagażu. Zawsze sądziłem, że proste rzemiosło techniczne raczej przenosiło się ze zautomatyzowanej Ziemi, na tereny pograniczne, na których wciąż potrzebne były takie umiejętności. Ale to co zobaczyłem, wydawało się kolejną oznaką, że stary porządek się zmienia. Odwróciłem się, aby porozmawiać z pilotem, który stał koło mnie, a potem zastanowić się nad tym wszystkim.

Lecz to on pierwszy przerwał milczenie, ani na moment nie odrywając wzroku od małej grupy, która wchodziła na statek.

— I to oni są najbardziej potrzebni, sierżancie! Technicy atomowi znów są poszukiwani, tak samo jak i pluton. To właśnie mają przywieźć ciężarówki i dzisiaj zostanie załadowane na oba statki tyle, ile dało się bezpiecznie zorganizować. Oczywiście, nie powinienem panu tego mówić. Ale urodziłem się tutaj a ta robota nie jest podobna do ostatniej, kiedy wywoziliśmy z planety oddziały wenusjańskie. Ma pan ochotę przyłączyć się do mnie i upić w trupa?

To był jakiś pomysł. Pluton jest cenny w zasadzie jedynie jako materiał na bomby, na które nadal nie wymyślono niczego lepszego. Zaś bomby atomowe to najbardziej paskudna, najniebezpieczniejsza i najbardziej nieskuteczna broń, kiedykolwiek wynaleziona przez walczących ludzi. Nadają się tylko do niszczenia ziemi, tak że nie można jej potem w żaden sposób oczyścić, oraz do zatruwania atmosfery, tak że zaczynają umierać także twoi własni rodacy. W ciągu pięciu wieków nie zrzucano nawet

jednej z nich, ponieważ wymyśliliśmy znacznie lepszą broń energetyczną. A więc teraz mieliśmy zawieźć je z powrotem na Ziemię, gdzie już zgromadzono odpady ze wszystkich stosów atomowych.

Jednak kiedy chciałem mu odpowiedzieć, usłyszałem sygnał z samochodu, wykorzystywanego przez generała, i zmieniłem zdanie. Byłem w tej chwili w nastroju na spotkanie ze Stanislausem, a whisky i tak jest dosyć kiepskim oczyszczeniem dla umysłu. Tym razem wiedziałem, że informacje którymi go nafaszeruję, dotyczyły rzeczy, wcześniej mu nieznanych.

Więc. „Tak uwikłani zostaną ludzie w złej chwili, gdy spadnie na nich znieńcka.”¹ Przetrawiał to powoli przez chwilę, a potem wzruszył ramionami.

— No cóż, może w taki sposób będzie szybciej. Ale nie sądzę, aby miało dla mnie jakiegokolwiek znaczenie. Będę wtedy w Marsport, na swoim pogrzebie – cudowna trumna, jak mniemam, chociaż szkoda że będziemy pod taką presją czasu, że nie będę mógł mieć honorów wojskowych. Tylko prosta powaga cywilnych obrzędów. Pomyślałem, że miałbyś może ochotę na złożenie mi czułych wyrazów pożegnania, dla uczczenia starych dobrych czasów.

— Taaa, jasne. I mnie daj butelkę tego samego.

Pokręcił delikatnie głową, a głos starego głupca brzmiał poważnie.

— Szkoda, że nie mogę ci tego obiecać, sierżancie. Nie pragnąłbym niczego bardziej, niż mieć cię u swego boku, abyś wysłuchiwał moich teorii na temat naszego rasowego kompleksu feniksa. Ale zrobiłem najlepszą rzecz z możliwych, zostawiając ci w kabinie książkę, która jest miłością mego życia. No dobrze, przekomarzam się tu z tobą, a właśnie na mocy specjalnego rozkazu zostałem przeniesiony do służby gubernatora. Czy ma to dla ciebie jakiś sens?

Miało, że tak to określe. Oznaczało to mianowicie, że po tylu latach tęsknoty, żeby się w końcu zamknął, miałem zacząć tęsknić za nim. I to teraz, kiedy zostałem nawrócony i sam pewnie będę gryzł się w język, żeby powstrzymać się od wylewania na wszystkich dokoła tego samego potoku czarnych myśli. Jednak nie byłem zbyt dobry w mówieniu takich rzeczy, a on przerwał mi w pół słowa.

— No to, do diabła z tym. Ta łajba już tutaj nie wróci, choć lepiej żeby inni nie zorientowali się, że tak myślisz. Zaufaj generałowi, on dopilnuje żebyście się przebili. Kiedyś popełnił błąd, ale teraz jest dużo mądrzejszy. Zapomnij o Kochelecie i zamiast tego przypomnij sobie brzęczenie Kiplinga: „Takie są Prawa Puszczańskie. Wyliczyć je — niepodobieństwo! Lecz sercem Prawa i głową, i kośćcem jest... posłuszeństwo!”². Obraza dla rymów, także, ale to wymagałoby znacznie więcej wiedzy i praktyki. A teraz zostawmy to już, zanim naprawdę zacznę wygłaszać kazania!

¹ Księga Koheleta, za Biblią Tysiąclecia (przyp. tłum.)

² Fragment wiersza Rudyarda Kiplinga „Prawo dżungli” (z „Drugiej księgi dżungli”), w tłumaczeniu Józefa Birkenmajera (przyp. tłum.)

Nie musiałem szukać mojego pilota; miałem w kabinie swoją własną butelkę marsjańskiej kanałówki. Więcej jednak zajmowałem się pochłanianiem zawartości książki niż butelki, gdy nadszedł ranek i z zewnątrz rozległo się pukanie.

Kiedy chrząknąłem, do środka wszedł generał, twarz miał ściągniętą ze zmęczenia, a oczy czerwone z braku snu. Skinął głową na książkę, opadł na koję i nalał sobie solidną porcję, zanim spojrzał na mnie.

— Niezwykła książka, Bill, napisana przez niezwykłego człowieka. Ale już o tym wiesz. Dynamit, oczywiście, ale coś, co będziemy musieli przemycić, żeby zachować ją dla ewentualnej potomności. I przestań wyglądać na tak cholernie zaskoczonego. Każdy człowiek, któremu zaufała Stanislaus, jeżeli o mnie chodzi, jest równym mi lub nawet lepszym. Kiedy wylądujemy, mam dopilnować, abyś otrzymał tytuł szlachecki i stopień pułkownika, więc i tak praktycznie jesteś oficerem. A ja nie jestem ani generałem, ani księciem – tylko posłańcem od niedawno zmarłego Stanisława Korzyńskiego. Zmarł na gorączkę kanałową przedwczoraj, przecież wiesz.

Było to za mocne i za szybkie, nic więc nie odpowiedziałem. Sięgnąłem po butelkę i pociągnąłem prosto z niej, nie zwracając sobie głowy szklaneczką. Generał wyciągnął swoją i przyglądał się jak ją napęlam, a potem wychylił ją zanim zaczął mówić dalej.

— Niewiele pozostaje po żołnierzu, prawda, Bill? Ale tak musi być. Nikt nie zna nazwiska, którego używał, ale na Ziemi jest wiele osób, które pamiętają jego twarz. A może jeszcze nie domyśliłeś się kim on jest, z książki?

— Miałem pewne podejrzenia — przyznałem. — Tylko nie wiedziałem, czy to ja jestem bardziej szalony, czy on.

— Żaden z was. Masz rację, to podobno zamordowany książę Stellius Asiaticus, prawowity władca Imperium! Oto notatka, którą ci przysłał.

Nie było tego zbyt wiele: „Drogi przyjacielu sierżancie – udało mi się wyrwać z wojska, pomimo wszystko. Jeśli będziesz miał dzieci, jak ja zamierzam, przekaż im moje nowe nazwisko i pewnego dnia nasi potomkowie może się spotkają i podyskutują o Feniksie. Kirk O. Chelet”

— Feniks — mruknął generał nad moim ramieniem, gdy sięgnął po butelkę. — Co on u diabła przez to rozumie?

— A co to w ogóle jest?

— Legendarny ptak z mitologii greckiej – jedyny w swoim rodzaju. Żył przez kilkadziesiąt lat, następnie budował sobie stos pogrzebowy i siadał na nim, rozdmuchując płomienie skrzydłami, dopóki nie spłonął. Potem, z jego popiołów wykluwał się nowy ptak i wszystko zaczynało się od początku. Dlatego właśnie wykorzystywano go jako symbol nieśmiertelności.

W dole pod nami, niepewnie zahuczały rakiety, a potem ryknęły z pełną siłą, podczas gdy siła strumieni przycisnęła nas plecami o ścianę. Za iluminatorem Mars pozostał raptownie w dole, zaś Imperium wracało do swego gniazda. Ale nie rozmyślałem o tym zbyt długo, choć budziło to wrażenie.

Jakoś miałam zamiar mieć dzieci, o których wspominał Stanislaus, i żyć wystarczająco długo, aby dopilnować by zapamiętały nowe nazwisko, jakie sobie wybrał, bomby atomowe czy nie. Ponieważ w końcu dobrze go znałem, a ten pesymista był księciem, zgadza się – ale księciem optymistów.

Razem z generałem usiedliśmy, wznosząc za niego toasty i dyskutując o legendzie Feniksa oraz wzlotach i upadkach cywilizacji, podczas gdy Mars zmieniał się z planety w okrągłą kulę na tle przestrzeni kosmicznej. To może nie było wojskowe ani właściwe, ale poczuliśmy się znacznie lepiej, kiedy we właściwej chwili znaleźliśmy i skonfiskowaliśmy drugą butelkę.

KONIEC